OBYWATEL
THE CITIZEN

POLISH WEEKLY. OBYWATEL. THE CITIZEN. OBYWATEL'S BUILDING BATHGATE AVE. N.Y. CITY.

Rok II. New York, 21 Marca 1896 Nr. 13.

ZE SWIATA.

‡ Londyn. Moskiewski korespodent donosi do „Daily News", że rząd turecki postanowił na żądanie Rosyi wydalić z Małej Azyi wszystkich angielskich i amerykańskich misyonarzy.

‡ Londyn. „Pall Mall Gazette" pisze, że cesarz austryacki Franciszek Józef i cesarz niemiecki Wilhelm w tych dniach mają się spotkać w Genui z królem włoskim Humbertem.

‡ Rzym. Podług ostatnich wiadomości z Masamy przebyły wojska króla Menelika już połowę drogi między Adua i Addigrat i znajdują się obecnie w Entisco. Także wojska Osmana Digma, znajdują się w pochodzie i przybyło do Gulusit.

‡ Petersburg. Z Konstantynopola donoszą, że dzięki usiłowaniom Nelidowa, rosyjskiego ambasadora w Konstantynopolu oddała Turcya sprawę bałkańską i egipską zupełnie pod rozporządzenie Rosyi. Natomiast przyrzekła Rosya popierać Turcyą i powstrzymać Ormian od dalszych buntów.

‡ Z Penjamo, w Meksyku, wyjechało 15,000 pielgrzymów do cudownego obrazu Matki Boskiej w Guadelupe.

‡ Londyn. Z Berlina donoszą, że agenci hiszpańskiego rządu przybyli do Oberndorf w celu odebrania zamówionych tam 30,000 karabinów.

‡ W Bombay, w Indyach angielskich, spalił się wojskowy magazyn. Szkodę liczą na $700,000.

„Obywatel"

(The Citizen.)

ISSUED EVERY SATURDAY.

LOUIS NIEMO, (Ludwik Niemojowski) Pub.

2081 BATHGATE AVE., NEW YORK.

SUBSCRIPTION:

ONE YEAR $2.00 IN ADVANCE.

Single Copy 5 Cents.

Entered at the New York Post Office as second Class Mail Matter.

RATES OF ADVERTISEMET:

One inche for one year . . .	$20.00
One inche for six months . . .	$10.00
One inche for three months . .	$ 6.00
One inche once	$ 1.00

One line once 10 cents.

(Nonpareil measurement, 12 lines to one inche).

Prenumeratę roczną, półroczną lub kwartalną należy nadsełać w liście registrowanym, przez „Money Order", express lub w 2 centowych znaczkach pocztowych pod adresem:

Louis Niemo, Publisher

2081 Bathgate Ave., New York.

KRONICZKA Z NEW YORKU i OKOLICY.

* Potrzebny chłopiec 14–16 lat mający do nauki dobrego rzemiosła. Pensya na początek cztery dolary tygodniowo. Oferty ze wszelkimi szczegółami adresować:

K. S. care of „Obywatel"
Bathgate Ave. New York, City.

* W zeszłą Sobotę pan W. Szukiewicz odczytał w kółku kilkunastu znajomych szereg listów o stosunkach amerykańskich w ogóle a o New Yorkskich w szczególe, które niezadługo będą drukowane w jednym z pism krajowych. Gładkość formy i zupełna bezstronność charakteryzuje pracę pana Szukiewicza.

* Odczyty widać w modzie. W niedzielę 16 marca, na posiedzeniu tow. Parafialnego p. Dobrzyński przeczytał artykuł o grzybach. Stosunki New York'skie też były celem pocisków prelegenta. Te grzyby, muchomory trujące, które ze zgnilizny w jedną noc wyrosły a w następną już znikły pan D. porównał do tych warchołów którzy trują naszą kolonię waśniami i niesnaskami. Pan D. został nagrodzony licznemi oklaskami.

* Kółko Literackie jest nazwą nowopowstającego towarzystwa w naszem mieście. Spodziewamy się że nasz powszechnie szanowany i zasłużony literat i korespodent „Gazety", pan Juliusz de Orzeł, zajmie w „Kółku" godność odpowiednią do stanowiska które w świecie literackim zajmuje.

* Trupa teatralna polska pod dyrekcyą Adama Millera z Brzeżan wybiera się na gościnne występy do Stanów Zjednoczonych. Pierwsze kilka przedstawień dane będą w New York'u. Jan Lubicz Jagniątkowski jest sekretarzem trupy do której przyłączyły się wybitniejsze siły teatrów prowincyonalnych w Galicyi.

W sprawie kosciola polskiego w New Yorku.

(Dokończenie).

Trzecim ze sławetnej trójki od Gazety Polskiej jest niejaki p. Kulakowski czy też Kołakowski lub nawet Kułakow, człeczyna niewiadomego pochodzenia i bardzo zagadkowej przeszłości. Jest on podobno generalnym zarządcą czyli z amerykańska managerem wiadomej Gazety, bo przecież tak olbrzymie pismo peryodyczne jak wspomiana Gazeta Polska ani rusz bez dyrektora obejść się nie może.

Otóż ta trójka dobrana złożona z takich osobników, dla których najbrudniejsza sprawa nie była jeszcze za brudną, którzy dla dolara prowadzili wspólnie haniebną szacherkę polityczną w czasie wyborów z uszczerbkiem strasznym imienia polskiego a potem jeden drugiego denuncyował, gdy się pokłócili przy podziale łupu, ta mówię trójka dziś występuje w roli nauczyciela moralności i pragnie leczyć ciało zdrowe, sama będąc cuchnącą. obrzydłą zgnilizną.

Ta trójka, dla której mało jest słów pogardy, oburza się.. na co pytamy, oto na to, że powszechnie lubiany i szanowany przez swych parafian i pod każdym względem godzien tego szacunku miejscowy proboszcz Wiel. ks. Jan Strzelecki, szanując miejsce Bogu poświęcone, niechciał w niedzielę dnia 16 lutego b. r. odprawiać sumy wśród jarmarcznego hałasu i zgiełku spowodowanego przez menerów korporacyi Allgemeiner Verein, którzy dla dogodzenia swym płaskim samolubnym celom nie wahali się naprowadzić do przedsionka kościelnego zastępu policyi, aby gwałtem zmusić lud polski, by ich uznał za prawnych właścicieli kościoła, który podstępem i zdradą chcą sobie przywłaszczyć, zmusić ten lud polski, aby ich uznał za sumiennych i uczciwych zarządców funduszów parafialnych i obdarzył ich swem zaufaniem, na jakie w żaden sposób sobie nie zasłużyli a i obecnie nawet pozornie nie starają się zasłużyć.

Ksiądz proboszcz nietylko nie popełnil nic zdrożnego ale owszem był prawnie obowiązany do takiego postąpienia, bo

on jest rządcą kościoła on też za niego odpowiada przed wyższą władzą kościoła. Jeszcze do tego nie przyszło i da Bóg — nie przyjdzie nigdy aby hołota gazeciarska, dla której nie ma nic pod słońcem, coby w niej budziło jeszcze jakiekolwiek uszanowanie, miała jakiekolwiek prawo zabierania głosu w sprawach kościoła katolickiego i stanowienia przepisów, czy, kiedy i w jaki sposób nabożeństwo ma się odprawiać lub nie.

Tyle o owem zajściu. Szczegółowo całej sprawy nie opisujemy, jest ona bowiem znana wielu jako naocznym świadkom i każdy z Was Szanowni Rodacy jest przekonany po czyjej stronie jest prawda.

Musimy atoli jeszcze odpowiedzieć prawdomownej gazetce na zarzuty czynione naszemu czcigodnemu duszpasterzowi, jakoby podburzał naród, by nie płacił wstępu do kościoła i innych ofiar, że pragnie być kasyerem i t. p.

Zarzuty te są wierutnem kłamstwem. Nigdy ani jednem słowem nie napomknął Wiel. ks. Strzelecki, by nie płacić wstępu do kościoła ale naród sam nie ufa ludziom którzy dla zagarnięcia budynku kościelnego na własność nie cofnęli się newet przed kłamstwem i fałszywą przysięgą, którzy z funduszów publicznych płacą jakieś pożyczki, które nigdy na rzecz kościoła nie zostały zaciągnięte i nigdzie w dochodzie nie figurują.

Kilkakrotnie oświadczył ks. Strzelecki publicznie i stanowczo, że niechce być kasyerem i temu oświadczeniu więcej nieco można wierzyć, niż szczekaniu Gazety, która na każdego i na wszystko ujada jak mały szczeniuk, na którego nikt rozsądny nie powinien zwracać uwagi.

Sądzimy, że to wystarczy i że kłamstwa i oszczerstwa Gazety Polskiej dostatecznie zostały napiętnowane, kończymy więc wzywając Szanownych Braci, by odmòwili swego poparcia ludziom, ktòrzy na każdym kroku starają się nam szkodzić, którzy hańbią imię polskie i bezczeszczą nasze kościoły oraz świętą wiarę naszą.

Nam takich przewodników nie potrzeba, popierajmy pisma, które idą drogą prawdy i obowiązku obywatelskiego, z których czegoś lepszego można się nauczyć, niż karczemnych wyzwisk i wyszydzania wszystkiego co wieki jako poszanowania godne, uświęciły.

Z bratniem pozdrowieniem

Komitet Zjednoczenia Parafian Katol.

przy kościele polskim

w Nowym Yorku.

LEKARZ OBŁĄKANYCH

I.

Od dzieciństwa marzyłem o nabyciu posiadłości ziemskiej, bo czyż może być coś szlachetniejszego nad pracę na roli, ową spokojną, cichą pracę, która miljony żywi? To też gdym po śmierci ognia odziedziczył 100.000 dukatów w gotówce, postanowiłem mrzonki urzeczywistnić ale nie, jak to wielu robi, poświęcać na kupno wszystkiego kapitału. Za 50 lub 60 tysięcy dukatów można nabyć piękny majątek, resztę pieniędzy użyję na ulepszenia gospodarskie lub schowam na wszelki wypadek.

Od chwili powzięcia postanowienia czytałem pilnie wszystkie ogłoszenia o sprzedaży majątków ziemskich, wrzeszcie zdawało mi się, żem znalazł to czego szukam. Anons opiewał, że są do nabycia dobra mające 90 morgów ziemi ornej, tyleż łąk i 1.500 morgòw lasu, z inwentarzem ruchomym, obszernym zamkiem i budynkami gospodarskiemi: wszystko miało się znajdować w najlepszym stanie a żądano tylko 50.000 dukatów.

Udałem się natychmiast do adwokata, którego ogłoszenie wskazywało jako pośrednika przy kupnie. Adwokat przyjął mnie z uprzedzającą grzecznością, udzielił wszelkich wskazòwek. Dowiedziałem się, że dobra należą do rodziny hrabiòw Klarandy, że po śmierci starego hrabiego spadko-

biercy sprzedają je ze wszystkiem, co nieboszczyk pozostawił—nabywcy się dostaną nawet meble, bibliotekę i obrazy.

— Pragnąbym nabyć tylko dobra z inwentarzem i budynkami—rzekłem.

— Cena wsi z urządzeniem domu mieszkalnego lub bez pozostanie ta sama.

— Ależ, chociaż zmarły właściciel był hrabią, nie widzę potrzeby rozsiadać się na jego kanapach i ubierać się w jego odzież!

— Możesz pan sprzedać owe meble i obrazy.

— Prawda. Racz pan jednak powiedzieć, dlaczego spadkobiercy sprzedają dobra?

— Oddawna mieszkają w Wiedniu i nie myślą osiadać na wsi.

— Jakaż tam ziemia?

— Odpowiem panu krótko: ziemia wyborna, wszystko w należytym porządku, będziesz pan miał i grzyby, i ryby— czego zapragniesz.

Przejrzawszy z uwagą spis inwentarza przyszedłem do wniosku, że cena była nadzwyczaj nizka; to mnie zastanowiło.

— Widzę, że pan masz pewne wątpliwości—pochwycił adwokat, zauważywszy moje wahanie—otóż, powiem panu, że dobra dlatego mają być sprzedane tak tanio, ponieważ do kupna hrabia zastrzegł w testamencie, aby tamtejszy rządca, mastalerz, stangret, kamerdyner, odźwierny i jakaś sierota, mieli do końca życia całkowite utrzymanie w dobrach.

— Warunek wcale nie uciążliwy—odparłem.—Nabywszy dobra musiałbym zgodzić nową służbę, wolę więc ludzi z miejscowemi warunkami obeznanych. Muszą być uczciwi, jeżeli nieboszczyk w testamencie o nich nie zapomniał, a że niektórzy mieszkają w zamku, tem lepiej; samemu mieszkać w tak obszernym budynku nie byłoby mi przyjemnie.

Adwokat spojrzał na mnie bystro i zapytał z zakłopotaniem.

— Pan zamierzasz mieszkać w zamku?

— Naturalnie, przecież nie wynajmę izby od włościanina.

— Hm... — bąknął adwokat — nie wiedziałem, że pan chcesz mieszkać w zamku...

— Mówisz pan dziwnym tonem. Może to zamek zaklęty, w którym pokutują duchy? Może tam przed wiekami spełniono morderstwo i teraz widmo zabójcy co noc przychodzi na miejsce zbrodni, wlokąc za sobą ciężkie łańcuchy. Byłoby to wielce dramatyczne, wielce straszne ale ja, adwokacie łaskawy, mam nerwy mocne i w duchy nie wierzę. Zresztą — zamyślam założyć w dobrach na wielką skalę fabrykacyą sera a duchy podobno odoru sera nie znoszą.

Rozśmieliśmy się obadwaj, następnie adwokat spisał kontrakt, ja wyliczyłem część należnej sumy, w kilka dni dopłaciłem resztę, i oto byłem właścicielem dóbr.

Zanim pozałatwiałem wszystkie interesa w mieście, upłynęło dwa tygodnie; miałem wielu przyjaciół, jakże ich nie pożegnać, zwłaszcza, że nie sądziłem, iżbym ich mógł tak prędko znów zobaczyć. Wreszcie oddawszy pożegnalne wizyty, wyjechałem pocztą do moich dóbr, poleciwszy listownie rządcy, ażeby przysłał po mnie do ostatniej stacyi powozik lekki.

Rządca polecenie wypełnił: zgrabny powóz zaprzężony rosłemi końmi oczekiwał na stacyi. Zdziwiło mnie mocno, że stangret mój był w żałobie i miał minę, jak gdyby dopiero co wracał z pogrzebu. Powoził wybornie ale w drodze ciągle jęczał, wzdychał, gdym go zaś spytał, co mu jest, odparł, że ma wielki ciężar na duszy.

— Miejże sobie ciężar, mój kochany — rzekłem — byleś nie wywrócił pojazdu.

Nic nie odpowiedział, natomiast wyjął chustkę i oczy ocierał.

— Co ci jest? — zapytałem.

— Panie... boleść moja jest bez granic! — wyjęknął i umilkł.

Gdyśmy przejeżdżali przez niewielkie wzgórze, mój posępny stangret głośno zaczął szlochać. To mnie zniecierpliwiło i przestraszyło zarazem.

— Czego płaczesz?— krzyknąłem.

— O, panie, jakże nie mam płakać, na wspomnienie ohydnej zbrodni.

— Zbrodni?

— W tem właśnie miejscu zabiłem rodzonego brata.

Podskoczyłem na siedzeniu.

— Ty, ty zabiłeś brata? Zapewne nie umyślnie?

— Przeciwnie, panie, umyślnie.

— I nie zostałeś ukaranym?

— Nikt pròcz nieboszczyka hrabiego nie wiedział o tem.

To mi niespodzianka! I co mam począć z tym człowiekiem? Czy nie należy zawiadomić o jego zbrodni sąd? Dlaczego przyznał się nie pytany? Niepodobna trzymać przy sobie mordercy, ale on powoził doskonale, jechaliśmy jak po stole, chociaż droga była pełna wybojòw i kamieni.

Wieczorem przybyliśmy na miejsce, już zdaleka spostrzegłem ogromne zamczysko, z wieżą, okolone wysokim murem. Pięć okien pierwszego piętra było oświetlonych, znak, że mnie oczekiwano.

— Służba wie, że dziś przyjeżdżam?—zapytałem stangreta.

— A jakże—odparł.—Oto jeden stoi na warcie—dodał wskazując biczem jakąś postać, stojącą na kamieniu w postawie wojskowej i przyciskającą do ramienia kij zamiast karabina. Gdyśmy się zbliżyli, ów wartownik zawołał „prezentuj broń!", zwinął dłoń w trąbkę, przyłożył ją do ust, zeskoczył z kamienia, wsiadł na kij jak na konia i pędził przed powozem to trąbiąc, to wrzeszcząc:

— Prezentuj broń! Z drogi! Pan jest panem nawet w piekle!

— Ten człowiek musi być pijany—rzekłem do woźnicy, lecz ten nic mi nie odpowiedział.

Turkot pojazdu sprowadził na dziedziniec ludzi; nikt nie zważał na krzykacza, ten zaś stanął przy bramie wyprężony jak struna i salutował mnie po wojskowemu. Wysiadłszy z powozu spojrzałem mu w oczy; twarz miała wyraz tak poczciwy i szczery, że poczułem do narwańca odrazu sympatyą.

Po dziedzieńcu przechadzał się nizki, chudy człowieczek, ubrany w zieloną kurtę i długie buty.

— Jesteś strzelcem, przyjacielu?—zapytałem go.

Człowieczek stanął, wyprostował się, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy, odął pogardliwie usta i odszedł.

— Co za dziwni ludzie!—rzekłem do siebie. — Będę miał z nimi nie mało kłopotu.

Nagle usłyszałem przed sobą smiech a odwróciwszy się ujrzałem średniego wieku, przyjemnej powierzchowności mężczyznę; miał twarz rozpromienioną, kłaniał się i śmiał bez przestanku.

— Ściele się do stóp jaśnie pana... ha! ha! ha!—zawołał stanąwszy przedemną.—Mam zaszczyt się przedstawić.. ha! ha! ha! jestem kamerdynerem jaśnie pana... ha! ha! ha! Szczęść Boże na nowem mieszkaniu, ha! ha! Oczekiwaliśmy jaśnie pana, wszystko dla niego przygotowane: pościel, wieczerza, ha! ha!

— Chwała Bogu, że przynajmniej jednę wesołą twarz spotkałem—rzekłem w głos.—Patrząc na ciągle płaczącego woźnicę, myślałem że jadę na cmentarz.

— Proszę jaśnie pana, na niego nie trzeba uważać, ha! ha! on jest waryat, zupełnie obłąkany, ha! ha! ha!

— Doprawdy? A ten odźwierny, co takie wrzaski wyprawiał?

— Ten? Ha! ha!, to jeszcze większy waryat, ale zato wierny i uczciwy człowiek, ha! ha!.

— Przyjemna wiadomość. A ów strzelec, który na mnie z takim lekceważeniem patrzył.

— I ten jest obłąkany, jaśnie panie, ha! ha!. Jemu się zdaje, że jest królem łapończyków, ha! ha! ha!

— Trzech waryatów w jednym domu?! Ależ to okropność. Czy rządca jest w domu?

— Jest, jaśnie panie, ha! ha! Mam go zawołać, ha! ha! Nieustanny śmiech kamerdynera począł mnie drażnić.

— Jak ci na imię?—zapytałem.

— Ludwik, ha! ha! ha!

— Dlaczego ciągle się śmiejesz, Ludwiku?

— Zdaje się jaśnie panu, ha! ha! ja się nigdy nie śmieję.

— Coraz lepiej — pomyślałem — mój kamerdyner także waryat.

Wszedłem do zamku, przebrałem się. Ludwik usługiwał mi zręcznie i szybko, ale śmiał się bez upamiętania. Będę miał wesołe życie.

Rządca, pan Malcer, oczekiwał na mnie w pokoju jadalnym; miał lat około czterdziestu, twarz poważną, oczy myślące, czoło wypukłe. Z wytwornych ruchów więcej był podobny do szefa biura ministeryalnego niż do rządcy majątku ziemskiego. Przywitał mnie z szacunkiem i na wstępie oznajmił, że znajdę majątek w stanie kwitnącym. Zmarły właściciel był zapalonym agronomem, pozaprowadzał w dobrach wszelkie ulepszenia; miałem tedy pługi Howard'a młocarnie Klayton'a, rasowe opasy, pyszne ramboullietv, krowy dające dwadzieścia litrów jednorazowego udoju, łąki podrenowane, pogipsowane pola—słowem gospodarstwo urządzone było wybornie.

Wysłuchawszy relacyi nabrałem humoru i z radości chciałem zapalić cygaro, ale pan Malcer uprzejmie prosił, żebym w obecności jego nie palił. Schowałem cygaro; rządca pewnie cierpiał na piersi i dym tytuniowy mu szkodził.

— Cieszę się — rzekłem nawiązując chwilowo przerwaną rozmowę—żem zrobił dobry interes, kupując te posia-

dłość. Niepodobają mi się tylko maniactwa służby, wytłumaczyć ich sobie nie mogę... Woźnica ciągle płacze i przyznał mi się, że popełnił morderstwo; odźwierny jechał na kiju; strzelec przywitał mnie jak lokaja a kamerdyner ciągle się śmieje.

Rządca spojrzał na mnie ze zdziwieniam.

— Jakto, alboż adwokat nie uprzedził pana o tem?

— O czem?

— O służbie tutejszej? Bardzo źle zrobił, bo to należało do warunków sprzedaży. Trzeba panu wiedzieć, że zmarły hrabia miał upodobanie zgromadzać przy sobie waryatów; nie czynił tego bez celu: studyował ich obłęd i przez rozsądne, łagodne a cierpliwe postępowanie furyatów na łagodnych i użytecznych przerabiał. Stangret tak był opanowany grozą urojonej zbrodni, że kilkakrotnie usiłował pozbawić się życia; hrabia potrafił go uspokoić, teraz tylko opłakuje owe niby bratobójstwo.

— Więc nie zabił brata?

— Ależ on jako żywo nie miał brata! Odźwierny był tak umysłowo niedołężnym, że jeść nie umiał, dziś jest człowiekiem użytecznym; strzelec, gdy go tu ze szpitala sprowadzono w dybach, rzucał się na każdego, gryzł, dusił, teraz nie miewa ataków furyi, jest posłuszny, pozostała mu tylko nieszkodliwa mania wielkości; kamerdyner wreszcie przybył tu jako nieuleczalny fiksat, dziś można go nazwać wzorem sług, chociaż się ciągle śmieje. Hrabia zastrzegł w testamencie, iżby ci jego pacyenci zamieszkiwali w zamku do śmierci.

— Jest tu podobno jakaś sierota?

— I ta niestety jest obłąkaną, ale obłęd jej równie nieszkodliwy. Zresztą mieszka w odległym zakątku zamku i nigdy się panu nie narzuci. Prawie, że wcale nie wychodzi a jeżeli jej śpiew nie będzie pana drażnił, niczem innem na gniew się nie narazi.

— Więc ja mieszkam z pięcioma waryatami pod jednym dachem?

— Tak, łaskawy panie.

— Proszę o papier, pióro i atrament, napiszę do adwokata.

— Co panu z tego przyjdzie?

— Napiszę mu słowa prawdy. O bo, wart tego: postąpił ze mną niesumiennie.

— Ma pan tu przybory do pisania; przyniosę lampę bo się ściemniać zaczyna.

Lampa miała dziwaczny jakiś kształt: była osłonięta gęstą siatką z miedzianego drutu, przypominała tem lampy bezpieczeństwa Dave'go, używane w kopalniach węgla. Nie pytałem pana Malcera, co znaczy ten origynalny aparat, bom pragnął jaknajprędzej skończyć pisanie listu. Zgromiłem adwokata porządnie, ostro wyrzuciłem mu matactwo, dodając, iż obowiązany był mnie uprzedzić, że będę zmuszony mieszkać z waryatami; „i gdybym nie znalazł — kończyłem — tak rozsądnego, wykształconego i pracowitego człowieka, jakim jest pan Malcer, nigdybym tu nie pozostał".

Włożywszy list do koperty, rzekłem:

— Proszę o lak i świecę.

Pan Malcer drgnął.

— Wszak można załepić list opłatkiem — odparł.

— Nie, proszę o lak.

— Opłatek równie dobrze trzyma.

— Nienawykłem pieczętować opłatkiem,

— Racz pan zatem iść zapieczętować list do sąsiedniego pokoju; tam znajdziesz świecę, zapałki i lak.

— Jestem znużony, zechciej pan to uwzględnić i przynieść świecę tu.

Rządca zbladł, zębami zgrzytnął.

— Daruj pan — rzekł — ale muszę panu wyznać, że cierpię na dziwną chorobę. Powietrze w płucach moich zmienia się na wodor, gaz niezmiernie zapalny; pokój, w którym

— Więc on jest w niedostatku?! — zawołał pastor — i pan go znasz. Jakże on się nazywa?

Nieznajomy zarumienił się mocno, wybąknął jakieś niezrozumiałe słowa poczem chwycił za kapelusz i pod pozorem bardzo pilnego interesu opuścił pokój

— Kto jest ten facet w okularach? — odezwał się pastor, wskazując na drzwi, któremi wyszedł nieznajomy i zwracając się do kelnera.

— Nie wiem panie — odpowiedział kelner. — Pierwszy raz w życiu go widzę. Wpadł przed chwilą i spotkał się z tym cudzoziemcem, hrabią czy księciem, który niedawno temu ztąd wychodził. Jeśliby Wielm. panu chodziło o nazwisko tego hrabiego, to mógłby objaśnić Jenkins, który je zna. i po którego mogę pòjść natychmiast.

— Jesteś bardzo usłużnym mój przyjacielu — odrzekł pastor — ale czy Jenkins wie gdzie ten cudzoziemski hrabia mieszka?

Nie panie! Jestem przekonany, że adresu tego hrabiego nie zna.

— Bardzo mi przykro — rzekł pastor — ale w takim razie nie ma potrzeby trudnić ani ciebie ani Jenkinsa, bo bez adresu nie łatwo by go było odnaleść. Szkoda biedaka. Widocznie jest w nieszczęściu chętnie bym mu pomógł.

— Panie—odezwał się towarzysz pastora siedzący w pobliżu, wiem że należy nam pomagać bliźniemu, ale sądzę, że ludzie obcej narodowości nie mogą rościć do nas żadnej pretensji.

— Nie ulega wątpliwości, że pretensji mieć nie mogą. ale my mamy obowiązki względem wszystkich ludzi, gdyż wszyscyśmy skazani do cierpień i jeśli wzajemnie doli swej nie będziemy się starali poprzeć, takowa nie może być zbyt ponętną.

— Już to wy księża macie swoje argumenta przekonywające — rzekł towarzysz pastora i wziąwszy go pod ramię wyszedł z nim na ulicę wśród bardzo ożywionej rozmowy.

ROZDZIAŁ XIII.

Mieszkanie wychodzcy.

Gdy Tadeusz wrócił do pani Robson doznał od niej bardzo łaskawego przyjęcia i prawdziwie rodzinnej opieki. A sympatja ludzka była mu teraz bardziej potrzebną, niż kiedykolwiek w życiu. Albowiem goraczka nerwowa, która nurtowała w nim od czasu opuszczenia kraju rodzinnego, rozwinęła się do takiego stopnia, że nie mógł się ruszyć, i pozbawiony zarówno sił fizycznych jak i energii ducha zmuszony był pozostawać w domu.

Pani Robson mocno się zmartwiła chorobą swego lokatora. Syn jej własny, ojciec sierot, któremi się opiekowała, umarł na suchoty i każde cierpienie podobne do tej strasznej plagi, wywoływało w niej wielkie współczucie.

Tadeusz musiał więc poddać się pod jej leczenie i czynił to po części by jej nie obrazić, po części dla tego, że nie miał środków do szukania pomocy lekarskiej. Stosując się do jej przepisów zażywał rozmaite domowe leki, przez nią samą przygotowane a nawet pozwolił zamknąć się do alkowy, pozbawionej światła i powietrza, co według zdania pani Robson było zbawiennym warunkiem kuracji.

Lecz to wszystko jakoś nie pomagało. Pacjentowi było coraz gorzej. Przestraszona pani Robson błagała go by pozwolił jej udać się po aptekarza, który leczył jej zmarłego syna. Lecz w tym względzie Tadeusz był nieugięty. Ani

argumenta ani łzy pani Robson nie skłoniły go do udzielenia swej aprobaty, i stała jego odpowiedź brzmiała tak:

— Droga pani Robson nie martw się, nie jest ze mną tak źle i przy pomocy pani jakoś się z tego wymknę, tylko się uspokój.

— Ależ widzę, że pan umierasz — zawołała stara.

I nie bardzo się myliła. Na drugi bowiem dzień Tadeusz wpadł w malignę, tak, że pani Robson, niezważając już na nic, posłała po swego aptekarza.

— Panie Vincent — rzekła stara, gdy aptekarz wszedł do pokoju — panie doktorze mam u siebie najlepszego młodzieńca, jaki się znajduje na tym świecie, i ten umiera! Chciałam posłać po pana już dawno, ale nie pozwalał na to i teraz ma delirja, jakby jaki warjat.

Pan Vincent poszedł za nią do chorego i przedewszystkiem odwinął portjerę zasłaniającą łóżko. Tadeusz leżał głęboko wciśnięty w poduszki i zupełnie bezprzytomny. Na ten widok pani Robson krzyknęła, myśląc że już umarł w czem wtórował jej mały Wiluś, stojący tuż przy swej babce.

— Cicho bądź kobieto — krzyknął doktór — on nie umarł wcale; proszę tylko wyjść z pokoju i zostawić nas samych, a ja go już pani wyrestauruję.

Gdy temu poleceniu stało się zadosyć, pan Vincent przedewszystkiem otworzył drzwi i okna, by wpuścić nieco świeżego powietrza, poczem zdjął ciężkie piernaty przykrywające Tadeusza i wlał mu jakieś krople do ust.

Chory otworzył oczy i poruszył ustami, wymawiając kilka słów bez związku, i choć nie odzyskał przytomności zupełnie, widać było, że myśl jego powracać zaczyna. Pani Robson też niebawem wróciła do pokoju szlochając, lecz uspokoiła się widząc, że Tadeusz jest bardziej ożywiony i z kolei zalała sie łzami wdzięczności dla aptekarza, wysławiając jego cudowdy sposób leczenia.

— Muszę mu krew puścić — odezwał się p. Vincent — i pójdę do domu po mego assystenta i po lancety; lecz przez

ten czas proszę wszystko zostawić jak jest, ciepło jakie tu panowało, byłoby dostatecznem do wywołania gorączki u zdrowego człowieka.

Powróciwszy p. Vincent wykonał zapowiedzianą operację, po której pacjent zemdlał.

— Biedny młodzieniec — rzekł chirurg zawiązując mu ramię i dodał wskazując na różne blizny, które zauważył na łopatce i piersiach pacjenta — patrz pani co za straszne cięcia. To nie była zabawka podczas wojny. Jak się nazywa lokator pa ni?

— Nazywa się Constantin — odpowiedziała pani Robson, gdyż to nazwisko Tadeusz jej podał przy wprowadzeniu się do jej domu, — ależ na miłość Boga, przywróć go pan do przytomności, bo nam zemrze kompletnie.

Pan Vincent dał mu jakieś lekarstwo do zażycia i pacjent na nowo otworzył oczy, wprawdzie jeszcze ciężkie i martwe, ale iskrzące się od gorączki jak poprzednio.

Za chwilę wymówił nazwisko pani Robson, co ją wprowadziło w taki zachwyt, że ręce jego okryła pocałunkami i na nowo zalewając się łzami.

— Moja pani — rzekł p. Vincent — nie należy tak postępować z chorym. Jak się pan czujesz dodał zwracając się do tegoż. Pacjent podziękował słabym głosem i p. Vincent zdawał się być zadowolonym ze stanu rzeczy. Po chwili wyszedł ze swym assystentem, prosząc panią Robson, aby mu towarzyszyła, gdyż pragnie jej udzielić dalszych instrukcji.

— Jakże, czy będzie żył? — było pierwsze pytanie zadane przez starą, gdy weszli do drugiego pokoju.

— Mam nadzieję — odrzekł p. Vincent — gorączka jest silną, ale organizm jeszcze młody, więc przy starannej opiece uda nam się pewnie zachować go przy życiu.

— Oby Bóg dał — zawołała pani Robson — gdyż przekonaną jestem, że to najlepszy człowiek na świecie. Dopiero tydzień jest u mie, ale widzę, że taki uprzejmy, a co najpiękniejszem po całych dniach czytuje biblię

— Tak — rzekł p. Vincent przeciągle — mam nadzieję, że on nie jest świętoszkiem ani też maniakiem religijnym, gdyż w takim razie trzeba byłoby przypuścić, że jego deliria mają inne źródła i o wyleczeniu należałoby zwątpić.

Nie pojmuję pana — rzekła pani Robson z oburzeniem — choć co prawda myślę, że jest katolikiem, to przecież jest chrześcianinem i to dobrym.

— Dla czego pani przypuszczasz, że jest katolikiem? Czyż nie jest Anglikiem?

— Nie; jest emigrantem.

— Emigrant! — zawołał p. Vincent, wymawiając ten wyraz z przyciskiem — pewnie jakiś biedny Francuzina? Boże, jak pełno tu tych cudzoziemców.

— O nie, doktorze — rzekła pani Robson, mocno oburzona pogardliwym tonem, jakiego p. Vincent używał względem jej lokatora. — Nie wiem czem on jest, ale biedy u niego nie widać. Ma dużo pięknych rzeczy i zegarek wysadzany brylantami i pierścionki brylantowe i takież medaljony. Nie potrzebujesz się pan obawiać, on nie będzie wymagał od pana nic darmo, a zresztą i ja przecież bym sprzedała swoją suknię.

— No, no, nie gniewaj się pani, nie mam wcale zamiaru obrazić nikogo — bronił się p. Vincent, ułagodzony odebraną informacją — lecz trudno nie narzekać, gdy się widzi, że chleb, który się należy naszym własnym dzieciom, dostaje się w udziale obcym, gromadzie leniwych trutniów francuskich, spekulantom; zdaje się jednak, że ten lokator pani pan . . . jak go tam pani zowie, należy do innego zupełnie gatunku.

— Pan Constantine, jest zupełnie innym człowiekiem — odpowiedziała staruszka łagodniej — i nie ulega wątpliwości, że gdy wyzdrowieje zapłaci panu tak, jakby wcale emigrantem nie był.

Ta ostatnia uwaga podobała się aptekarzowi bardziej, aniżeli wszystko i po udzieleniu pani Robson potrzebnych

informacji co do obchodzenia się z chorym, poszedł do domu, obiecując wrócić na wieczór.

Po tygodniu, podczas którego p. Vincent bardzo regularnie odwiedzał swego pacjenta, ten wrócił o tyle do zdrowia, że był już w stanie przejść się do pokoju frontowego. Ozdrowienie szło dotąd dość raźnym krokiem, jedynej przeszkody doznając w tem, że rekonwalescent martwił się bardzo długiem, który mimowolnie zaciągnął względem p. Vincenta i pani Robson. Zobowiązania pieniężne nie były mu jawne dotąd i godzinami rozmyślał nad tem w jaki sposób mógłby zapłacić wdowie i chirurgowi.

Pani Robson spostrzegała, że Tadeusz miewa się gorzej ilekroć pozostawiony bywał samotnie. Bawiła więc wiele przy nim, a gdy w tem doznawała przeszkody, będąc zmuszona do pilnowania małego sklepiku, który utrzymywała, starała się by mała Nany, albo naiwniejszy jeszcze Wiluś dotrzymywały mu towarzystwa i spełniały przy nim usługi. Szczególniej chłopczyk ten cieszył się jego sympatją. Będąc w ogóle przyjacielem wszystkich ludzi, a nawet zwierząt, przywiązał się do małego dziecka jakby do swego własnego i doznawał wzajemności w pełnej mierze. Wiluś ani na chwilę go nie opuszczał, bawiąc się z nim i zabawiając jego swą dziecinną wrzawą. To była obecnie jedyna przyjemność w smutnej doli Tadeusza.

ROZDZIAŁ XIV.

Ratunek i skutki takowego.

Z wolna jednak Tadeusz odzyskał swe siły o tyle, że mógł już pomyśleć o wyjściu na świat boży. Silny mróz grudniowy, jaki panował wówczas nie przejął go wcale, gdyż był stęskniony świeżego powietrza. Po małej i tliwej utarczce z panią Robson, która bała się by mu zimno nie zaszkodziło, postawił ostatecznie na swojem i wziąwszy małego Wilusia ze sobą wyszedł z nim na ulicę, obiecując, że nie pójdzie dalej jak do pobliskiego placu zwannego „Kings' Mew".

Ostry wiatr bijący go po twarzy, jakkolwiek nie przyjemny, okazał się bardzo korzystnem na osłabione nerwy Tadeusza. Czuł się bardzo pokrzepionym i korzystając z tego obszedł plac na około, a tuż za nim szedł maleńki jego towarzysz zabawiając się rzucaniem kamyków i chwytaniem takowych.

W tem nagle przez bramę wjazdową wleciała pędem jedna z karet królewskich, a za nią cisnęły się tłumy ludzi. Przestraszony dzieciak krzyknął i upadł. Tadeusz spostrzegł, że ulubieńcowi jego wielkie grozi niebezpieczeństwo, przedarł sią więc ku przodowi i pochwycił konie za uzdy, i zatrzymał je w sam czas, bo zalewia na kilka kroków od leżącego dziecka. Jeden z publiczności podniósł malca, który krzyczał przeraźliwie co widząc Tadeusz oddał cugle stangretowi, a sam pospieszył do swego faworyta, by go uspokoić. Gdy jednak

to okazało się niełatwem; a nadto spostrzegł, że sam osobą swoją zwraca uwagę publiczną głównie z powodu cudzoziemskiego stroju, jaki nosił — postanowił usunąć się z widowni jak najprędzej i wziąwszy chłopca na rękę pospieszył z nim do sklepu pani Robson, znajdującego w pobliżu. Nie zdołał jednak zapobiedz temu, żeby wielu z publiczności nie towarzyszyło mu w tej drodze, do czego skłoniła ich ciekawość o los dziecka i zainteresowanie się cudzoziemcem tegoż opiekunem.

Widząc tyle osób obcych koło swego sklepiku i swego płaczącego wnuka na rękach Tadeusza, pani Robson zaniepokoiła się mocno i pędem wyleciała na ulicę. Tu przedewszystkiem schwyciła dziecko, jednocześnie obrzucając Tadeusza pytaniami.

Odpowiedź była bardzo prostą:

— Chłopak się przeląkł i upadł.

Lecz Wiluś wśród łez opowiedział całą historję, dodając, że gdyby nie pan Constantine byłby już zabity przez kopyta końskie. Wtedy stara rzuciła się ku Tadeuszowi z płaczem i całując mu ręce, błogosławiła go za to, że z narażeniem życia własnego ocalił jej wnuka.

Daremnie Tadeusz usiłował przekonać ją, że nie należało mu się żadne podziękowanie.

— Naturalnie — rzekła stara — pan tak zawsze ilekroć pan coś zrobi dla mie, to niby nic, drobnostka, o której mówić nie warto, a najmniejszą bagatelkę, którą ja się panu przysłużę, podnosisz pan pod niebiosa. Ale nie będziemy się o to kłócić. Powiedziałam: Niech cię Bóg błogosławi i powtarzam to ciągle. No, a teraz jakże zdrowie pańskie, czy czuje się pan lepiej? Chyba tak, bo widzę ładne kolorki na na pańskiej twarzy.

— O tak — rzekł Tadeusz, zdejmując kołpak i płaszcz — czuję się jakby odmłodzonym. Domawiając tych słów naraz zbladł, opuścił rzeczy trzymane w ręce i potoczył się ku ścianie.

ZAŚLEPIONY.

Rabin, ślepy wykonawca przepisów zakonu, odsunąwszy się od świata, zamieszkał w nędznej lepiance. Czas cały przepędzał na rozmyślaniu, wpatrzony w księgi Talmudu, postami pokutniczemi ciało umartwiał, w księgach szukał przepisów, podług których żyć należy, aby dostąpić zbawienia duszy.

Pewnego dnia, wśród rozmyślań, zdało mu się, iż oko Pańskie spojrzało na niego gniewnie; widzenie to straszną goryczą i strachem duszę jego napełniło.

Nadszedł dzień Paschy, witany słońcem wiosennem. Rabin przybrał stół chlebem paschalnym i czekał wędrowca, zakon bowiem mówi: „Zadość uczynisz prawom gościnności". Niestety, nikt nie przybywał.

Rabin łzy leje, w piersi się bije, na progu domostwa swego staje, poczem drogi przebiega, wędrowca szukając, aby go w dom swój sprowadzić: on wędrowca napoi i nakarmi. Nareszcie spotyka kogo szukał: biedaka, który nogi ledwie wlókł za sobą.

Rabin zbliża się do niego, pozdrawia, pocałunek na czole jego składa i w progi swe wprowadza, aby go coprędzej ugościć.

Nogi nędzarzowi myje, najlepsze przed nim wina stawia, łoże swoje na spoczynek mu oddaje.

Nazajutrz, kiedy wędrowiec, dobrą wieczerzą i spoczynkiem wzmocniony, za kij bierze i w drogę się wybiera, swemu gospodarzowi dziękując, ten wstrzymuje go słowami:

— Wędrowcze, którego mi niebo zsyła, drugi dzień i drugą noc u mnie pozostań. — Starzec na prośby Rabina przystał.

Wśród nocy Rabin wstaje, skrada się do śpiącego gościa i kijem sękatym wymierza mu liczne a ciężkie razy.

Nędzarz, krwią zbroczony, woła:

— Com ci uczynił Rabinie, że mnie katujesz?!

W odpowiedzi pada Rabin na kolana i o przebaczenie prosi, rany opatruje, z największą starannością je leczy, dnie i noce na czuwaniu przy chorym przepędza.

Nędzarz, przyszedłszy do zdrowia, znowu w drogę się wybiera ale znowu go Rabin błaga i zaklina, aby dzień jeden jeszcze i noc następną pod dachem jego pozostał.

Nędzarz zostaje. W nocy Rabin, w topór uzbrojony, do śpiącego skrada się.

Przebudzony nędzarz wyrywa z rąk Rabina topór i tak doń rzecze:

— Mógłbym cię zabić, jak ty ze mną uczynić chciałeś, mam jednak litość nad tobą, bowiem niespełna rozumu jesteś.

— Łaski! przebaczenia!—woła Rabin na kolana padając. — Daruj mi życie i słuchaj:

— Trzem głównym cnotom, przez prawo Boga nakazanym, chciałem zadość uczynić; cnoty te są: gościnnym być, chorych leczyć i umarłych grzebać. Kiedy ty pod dach mój wszedłeś, starałem się zadość uczynić przepisom o gościnności, ale chorych nie miałem — raniłem cię przeto aby mieć kogo doglądać; i umarłych nie miałem — więc chciałem cię zabić, aby podług przepisów Talmudu pochować.

. . . .

Czyż mało między nami ludzi jak ów Rabin zaślepionych którzy poprzekręcawszy prawa Boskie i Narodowe, karmią nas opacznemi zasadami?

Sztuczne kwiaty.

Fabrykacya sztucznej flory
Z wielką prawdą dziś oddaje
Roślinnego świata wzory
I odmienno ich rodzaje.
Każdy nawet kwiat najrzadszy
Naśladuje zręcznie sztuka —
Kto się dobrze nie przypatrza,
Bardzo łatwo się oszuka.
I w poezyi wdzięcznych kwiatach
Wzmógł się przemysł — gdyż je sztucznie
Wyrabiają na warsztatach
Wyzwolonych kunsztow ucznie.
Odtwarzają nader wiernie
Układ, barwę i kształt wszelki,
Płatki koron, listki, ciernie,
Nawet lśniące ros kropelki.

Z KRAINY ŚMIECHU.

W salonie.

Gość niewidomy odzywa się półgłosem do swojej sąsiadki:

— Pani A. ma prześliczne zęby.

— Istotnie! Ale jak pan możesz o tem wiedzieć?

— Słyszę, że śmieje się głośno już od godziny.

***

Posłuszny Józio.

— Proszę mamy, jabym chciał coś powiedzieć . .

— Teraz synku nie można, widzisz że ojciec czyta gazetę.

W kwadrans później ojciec kładzie gazetę i zwracając się do chłopca mówi:

— Cóżeś to chciał powiedzieć, Józiu?

— Chciałem powiedzieć, że w łazience otworzyła się rura od wodociągu i woda się leje.

***

Na ulicy.

— Powiedz mi, dlaczego się nie kłaniasz wielkiemu redaktorowi od „Gazetki" p. Y.

— Mój kochany, czyż nie wiesz, że jeszcze za czasów Mojżesza zabroniono kłaniać się bałwanom?.